NIEDZIELA DLA DZIECI

Nr. 24. Częstochowa, dn. 28 listopada 1937 r. Rok VII.



Lecą, lecą, lecą zadyszane i bez tchu
Śnieżne gwiazdki z nieba,
Niby wiosną biały okwiat bzu.
Idzie zima mocnym krokiem w futrze sobolowym,
Z Mikołajem świętym idzie, idzie z Rokiem Nowym.

Hej, saneczki, łyżwy i... choinka.
Witaj, pani zimo, witaj! — krzyczy Jaś, Stasia i Ninka. —
Tylko cię prosimy nie bądz bardzo sroga,
Dla sierot, dla bezdomnych, nasza zimo droga

Św. MIKOŁAJ U DZIEWCZYNKI ZE SŁOMIANKAMI.

Przychodzi do mnie do Redakcji dziewczynka z baraków, co hen za miastem leżą i gdzie mieszkają sami bezrobotni, bardzo biedni ludzie. Dziewczynka ma 12 lat, bledziutką, jak opłatek twarzyczkę i w sinych, prawie błękitnych obwódkach wielkie, słodkie oczy. Ojciec dziewczynki umarł już bardzo dawno, na utrzymanie domu zarabia matka wyplataniem słomianek, które mała sprzedaje po domach. Codziennie rano, obładowana słomiankami, wyrusza na miasto. Puka do każdych drzwi, kłania się i z bledziutkim uśmiechem na drżących i sinych z zimna i wycięczenia wargach ofiarowuje swój towar. Rzadko kto kupuje. Jedni nie mają pieniędzy, drugim nie potrzeba. Ale czasem sprzeda dwie, trzy, cztery słomianki.

— Nieraz więcej, a nieraz nic — mówi smutnie — i wówczas jest bardzo ciężko wracać do domu.

— Dlaczego, — pytam, — czy boisz się wymówek mamy?

— O, nie — zaprzecza, — tylko mama tak czeka na ten grosz, który ja przyniosę. Jeśli nic nie zarobię, głodni idziemy spać. W izbie jest zimno i mały mój braciszek, Henio, płacze, że boli go brzuszek, nie z przejedzenia, proszę pani, o, nie z przejedzenia — i smutnie potrząsa głową.

Z podartych bucików wyglądają jej zabłocone, bose nogi, cienka chuścina, którą jest okryta, przemokła na deszczu i słocie.

Za oknem wiatr szaleje, wali pięściami w dom, ze złością pluje deszczem w szyby. I wówczas czuję, jak stojący obok mnie mały mój przyjaciel, Leszek, skubie mnie delikatnie za rękaw i szepce do ucha:

— Proszę pani, czy ja jej mogę dać cokolwiek?

I wyciąga z kieszeni całe swe bogactwo: — 30 groszy, skórzaną portmonetkę, 2 angielskie marki — Leszek jest namiętnym zbieraczem marek pocztowych — batystową chusteczkę i scyzoryk prawie nowy, w oprawie z perłowej masy. Wszystko to wtyka dziewczynce do rąk i zmieszany mówi szybko, bardzo szybko:

— Widzisz, nic więcej nie mam, nic więcej... ale to przyjmij... proszę cię, przyjmij...

Zdaje mi się, że wówczas na jeden krótki moment poweselał świat, jak gdyby od uśmiechu Boga.

— — — — — — —

Rozmawiamy kiedyś z Leszkiem o św. Mikołaju.

— Św. Mikołaj — mówię — urodził się w Patara w Azji Mniejszej. Od najmłodszych lat odznaczał się wielką nabożnością, to też, gdy podrósł wstąpił do stanu duchownego, dostał święcenia kapłańskie i wkrótce został obrany Biskupem Mirreńskim. Zajaśniał wówczas wielkimi cnotami. Był zawsze bardzo skromny, ubierał się ubogo, pościł, raz dziennie i jedną tylko jadając potrawę. Wszystkie swe dochody i cały majątek, otrzymany w spadku po rodzicach, rozdał ubogim. Zmarł dnia 5 grudnia 327 r. Ciało jego najprzód złożone w Mirrze, wielu zasłynęło cudami, również jak i w mieście Barze we Włoszech, dokąd później zostało przeniesione. Jest zwyczaj, że na pamiątkę świętego jałmużnika, który szczególnie kochał dzieci, w dzień jego imienia, rodzice swych synów i swe córeczki obdarzają prezentami.

Zadumane Leszkowe oczy powędrowały gdzieś bardzo daleko, więc pytam go o czym tak głęboko myśli.

— O dziewczynce ze słomiankami — odpowiada. — Czy jej mamusia będzie mogła choć cośkolwiek ofiarować, gdy na suchy kawałek chleba nawet nie ma. A przecie ona

jest dzieckiem, takim samym jak inne.

Myślał Leszek, myślał długo i wiecie, drogie dzieci, co postanowił? Postanowił dać dziewczynce prezent na św. Mikołaja. Tak, jej i małemu Heniowi.

Przetrząsnął cały dom. Z kufrów, ze skrzyń, z szaf, powyciągał wyrośnięte ubranka, zniszczone buciki, książki, stare zabawki. Dotąd prosił, dotąd molestował mamusię, aż ją skłonił do osobistego zajęcia się naprawianiem, odświeżaniem, reperowaniem zniszczonej garderoby i bielizny. A w dzień św. Mikołaja Leszek osobiście zaniesie to wszystko do baraków.

Boże, co to będzie uciechy w domu dziewczynki. Samą myślą o tej radości, jaką sprawi biednym ludziom, cieszy się Leszek, bo brać jest miło, ale pamiętajcie, drogie dzieci, że jeszcze milej dawać. I Leszek się cieszy, że może coś komuś dać, że może rozweselić czyjeś smutne oczy.

Czy wam się podoba, drogie dzieci, czyn Leszka?

Redaktorka.

—x—

SKĄPIEC.

(Dokończenie).

Brudny świt wlewał się już do młyna zakurzonymi oknami, gdy młynarz wyszedł z piwnicy i cicho za sobą klapę do suteryn wiodącą zasunął.

Obszedł młyn, sprawdził funkcjonowanie maszyn, zajrzał na górę do cylindrów i na dół znów powrócił. O barierę ochraniającą pędnie wsparł się i na rozpędzone koła i pasy zapatrzył, aż jęły wypływać gdzieś z głębi mózgu obrazki i przed oczami migać wspomnieniami przeszłości. Wspomnieniami lat dzieciństwa chłodnych i głodnych, ale wesołych i beztroskich, wspomnieniami zdrowych i pięknych walk i zdobyczy młodości i cichego szczęścia w uwitym gnieździe przy żonie i dziecku. A później... później... dwie trumny... jedna za drugą... dwie trumny żony i syna...

Patrzy w nie młynarz długo, długo, bo może zbudził się w nim żal za tym co minęło i co nie wróci, może się zbudził na jeden moment tylko, bo oto wstaje w nim znów szaleniec, co zbuntowany przeciwko woli Wszechmocnego pięść ku niebu podniósł i Boga się wyrzekł, a nienawiścią pijany, ołtarze kultu[1]) zburzył i pod gruzami pogrzebał własną duszę...

— Pieniądz — zaśmiał się chrapliwie młynarz — pieniądz, to mi potęga, to mi wszechmocny bóg. I powędrował myślą w loch ciemny, gdzie w żelaznym garnku skarb spoczywał.

— Bóg — tam mój bóg — wyrzekł głośno. W tej samej chwili zdało mu się, że słyszy jakiś chichot, czy zgrzyt w kołach transmisji. Nachylił się więc nisko nad barierą i uglądał, coby to być mogło. Koła chodziły normalnie, ale cóż to? — na szerokim, głównym pasie pociągowym lśnią sztuki, wiele sztuk srebra.

— Ki licho — zdziwił się — skąd że tam pieniądze?

Przetarł zmęczone oczy wyświechtanym rękawem kurty raz i drugi. — Pieniądze nie znikały. — Wciąż w tym samym miejscu spokojnie leżały na pędzącym pasie, lśniąc matowym blaskiem zastygłych z przekleństwem groźby łez.

Pociągnięty ich magiczną siłą, niepomny niebezpieczeństwa, pchany namiętnością, przechylił się przez barierę i dłonią uchwycił pas.

Porwał go wściekły pęd i wir.

W jednej minucie dwieście żalaznych uderzeń spadło na jego piersi,

[1]) kult — religia, wiara.

głowę, ramiona, w krótkim skowycie krzyku z chrzęstem miażdżąc kości, rwąc ścięgna mięśni, szarpiąc na włókna nerwy.

Na koła, na pasy, na ściany bluznęła krew czerwona, z rozbitego czerepu czaszki mózg wytrysnął miazgą szaro - brunatną, strupami osiadając na drzewie i żelazie...

Hi — hi — hii — gdzieś z dołu szyderczy skrzek złego śmiechu się zanosił...

— — — — — — — —

Głęboko w piwnicach ukryty leży skarb, skarb za który chciwością opętany młynarz diabłu duszę i ciało oddał. — A ludzie mówią, że w młynie straszy.

Ł. Troszanka.

PRZYGODY TADEJUSZA KOPYĆKO.

Tadejusz płacze. Leży w wysokiej, na żółto pomalowanej kołysce, pod kraciastą pierzynką i drze się w niebogłosy: mama! — Fianiu! — jeść! — Ale nikt mu jakoś nie odpowiada. W izbie cicho. Tylko ostatnie jesienne muchy tłuką się po oknie, w kącie koło pieca mysz chrobocze i słońce bladymi promieniami ozłaca izbe.

— Fiaaania! — krzyczy mały.

Nic, cisza.

— Maaama! — Też nic.

Więc sam jest, samiutki jeden w całej chacie. Dziecko ogarnia strach.

— Maamma! — woła, natężając głos i aż czerwienieje z wysiłku. I nic. — Tylko mysz chrobocze. Nie zadługo wydostanie się z nory, do Tadejusza przybiegnie, wskoczy do kołyski i — może mu wejdzie do buzi, a może mu nosek odgryzie. Tadejusz panicznie boi się myszy. Ten strach właśnie skłania go do szalonego kroku. Postanawia wydostać się z kołyski i z domu gdzie są potwory - myszy. (c. d. n.)

Z FILOZOFII DZIECIĘCEJ.

Starszy brat do młodszego:

— Cóż robiłeś dzisiaj w szkole?

— Ja? Czekałem, kiedy się lekcję skończą.

* * *

— Jakim sposobem taki wielki dzwon mógł się znaleźć na tak wysokiej wieży? — pyta Loluś swej starszej siostrzyczki.

— A, bo widzisz, umieścili go tam, kiedy był jeszcze małym dzwonkiem.

* * *

Ojciec z synkiem jest na filmie „Quo vadis". Przez ekran przesuwa się właśnie scena, gdy na wyprowadzonych na arenę chrześcijan rzucają się lwy. Mały Jaś płacze. Ojciec, zadowolony, że dziecko ma dobre serce, pyta się jednak dla upewnienia się, ile dziecko rozumie z filmu.

— Czemu tak płaczesz, Jasiu?

— A, bo, tatusiu, wszystkie lwy jedzą ludzi — tylko ten mały lewek, tam na prawo, nic nie dostał.

DLA ROZRYWKI.

SZARADA.

Uł. J. W.

Na B — pola doorywa,
Na W — czarna i wrzaskliwa,
Na G — są najlepsze winne
lecz je rodzą kraje inne.

Za dobre rozwiązanie powyższej szarady Redakcja „Niedzielki" przeznacza trzy nagrody książkowe, które zostaną rozdane drogą losowania. Do rozwiązań prosimy dołączyć niżej zamieszczony kupon.

KUPON Nr. 22.

Rozwiązanie z Nr. 22 „Niedzielki" brzmi:

Koc, Ola, Cal.

Dobrych rozwiązań nadesłano 12. Nagrody drogą losowania otrzymali: 1) H. Płuciński, Radomsko, ul. Marszałka J. Piłsudskiego 88, 2) Musialik Czesław, Gniazdów, p. Koziegłowy. 3) Marysia Fryczówna. Sosnowiec.